



GRAHAM  
MASTERTON

W ciemności  
nocy czai się  
pradawne  
zło...

KŁY  
I PAZURY

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
TOOTH AND CLAW

Copyright © Graham Masterton 1997  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Marcin Krygier 1997

Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska

Projekt graficzny: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: RachenStocker/Shutterstock (*gałęzie 1*)  
Denis---S/Shutterstock (*lapa*); user4387299/Freepik (*księżyc 1*);  
rawpixel.com/Freepik (*księżyc 2*); JorensSeins/Freepik (*gałęzie 2*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com  
wydawnictwoalbatros.com



ALBATROS

WEST GROVE COMMUNITY COLLEGE

II KLASA SPECJALNA

Greg Lake	Amanda Zaparelli	Sue-Robin Caufield	Seymour Williams
Sherma Feldstein	pusta ławka	Russell Gloach	Sharon X
Beattie McCordic	Ray Vito	Catherine Biały Ptak	John Ng
Mark Foley	Ricky Herman	Muffy Brown	pusta ławka
David Littwin	Rita Munoz	Titus Greenspan III	Jane Firman

Jim Rook

nauczyciel języka angielskiego,  
wychowawca klasy specjalnej

# ROZDZIAŁ I

Po wyjściu z kuchni Jim ujrzał swojego nieżyjącego dziadka siedzącego w zielonym fotelu po drugiej stronie pokoju. Dziadek był ubrany tak samo jak w dniu, w którym Jim widział go po raz ostatni: miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami i spodnie z szelkami. Popołudniowe słońce błyszczało w szklach jego okularów, a poplamione tytoniem wąsy przypominały ryżową szczotkę.

– Hej, Jim. Jak leci?

– To ty, dziadku? – zdziwił się Jim. W jednej dłoni trzymał puszkę schlitza, w drugiej kanapkę ze szwajcarskim serem. Jego żółtobrązowa kotka Tibbles płatała mu się między nogami.

– Coś nie tak, chłopcze? – zapytał dziadek i uśmiechnął się. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Jim odstawił piwo i odłożył kanapkę, po czym podszedł do dziadka, ale nie dotykał go. Niewiele wiedział

o wizytach z zaświatów, jednak zdawał sobie sprawę, że kontakt fizyczny wystarczyłby, by staruszek rozpułynał się w mgnieniu oka. Zjawy były tylko kombinacją gry światel i wspomnień.

Blask słońca padał na twarz dziadka, rozjaśniając jego szarozielone oczy, oświetlając pomarszczoną szyję i krótkie siwe włosy, strzyżone zawsze tak samo przez fryzjera na Main Street w Henry Falls. Nawet ciemne znamię na górnej wardze było takie jak zawsze.

– Nie musisz się niczego obawiać, chłopcze. Zjazałem jedynie z przyjacielską wizytą. Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać o dawnych czasach, a może trochę i o przyszłości.

Jim przycisnął dłoń do piersi. W ustach mu zaschło, serce biło jak oszalałe.

– Nigdy nie przypuszczałem, że jeszcze cię zobaczę – powiedział. – A już na pewno nie w moim mieszkaniu.

– Przecież posiadasz ten dar, Jim. Możesz zobaczyć każdego spośród żywych i umarłych. Wiesz o tym.

– Ale potrzebuję trochę czasu, by się do tego przyzwyczaić – odparł Jim. – Hej, może piwko?

Dziadek z żalem pokręcił głową.

– Moja wizyta u ciebie to wszystko, na co mogę sobie pozwolić – oświadczył. – A piwo... ha, ta przyjemność należy już do przeszłości.

Jim przysunął do jego fotela drugi, rozklekotany

brązowy rupieć wypchany żółtą pianką, usiłującą wydo-  
stać się na wolność przez niezliczone przetarcia obicia.

– Powiedz mi, jak tam jest – poprosił. – Widujesz babcię? No, wiesz, o co mi chodzi, czy to niebo, czy co innego?

– Nie wiem, czy można nazwać to niebem. – Dziadek się uśmiechnął. – Każdy dzień jest tam inny. Czasami po przebudzeniu się stwierdzasz, że masz dziewięć lat, jest lato i świeci słońce. Kiedy indziej budzisz się stary, chory, deszcz spływa po szybach i aż chce ci się umrzeć drugi raz.

– A babcia?

Staruszek pokręcił głową.

– Nieczęsto się spotykamy. Widzisz, kiedy człowiek umiera, próbuje pozłatwić niedokończone sprawy i to, czego nie udało mu się osiągnąć.

– Przecież osiągnąłeś wszystko, co chciałeś – powiedział Jim. – I byłeś najwspanialszym dziadkiem na świecie.

– To tylko tak wyglądało, Jim. Gdy miałem dziewięć lat, nie udało mi się nawet zebrać wystarczająco wiele kuponów z pudełek Ralstona, by dostać firmowego colta. Kiedy miałem dziewiętnaście lat, szkolna gwiazda futbolu odebrała mi dziewczynę, a gdy pracowałem dla General Electric, trzy razy pominięto mnie przy awansie.

– Próbujesz przedstawić siebie jako nieudacznika.

Nigdy tak nie było. Zawsze uważałem cię za zwyczajcę.

– Naprawdę? – zapytał dziadek z niedowierzaniem, lecz widać było, że jest zadowolony.

– Oczywiście. I nadal tak uważam – odparł Jim. – Wiesz, to, że już nie żyjesz... to żadna różnica.

– Taka, że nie mogę cię dotknąć, chłopcze, nie mogę cię przytulić. Ale jedno mogę: udzielić ci ostrzeżenia...

– Ostrzeżenia?

– Właśnie. Przynajmniej tyle martwi mogą zrobić dla żywych. Możemy zajrzeć za najbliższy narożnik, że się tak wyrażę, i zobaczyć, co się zbliża.

– Więc co się zbliża, dziadku?

Dziadek obliznął wargi i powiedział:

– Nadciąga ze wschodu. Jest mroczne, bardzo stare i takie jakieś szczeciniaste, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Więcej w nim dzikiego zwierzęcia niż człowieka, ale jest sprytnie jak człowiek i tak samo okrutne.

– Co to, u licha, jest?

– Nie widzę tego wyraźnie. Ale ostrzegam cię, chłopcze: zbliża się szybko, a kiedy już przybędzie, niektórzy ludzie pożałują, że się w ogóle urodzili.

Nie powiedział nic więcej – nie chciał albo nie mógł. Jim pytał: „Co to jest?” i „Skąd nadejdzie?” – ale dziadek tylko rozkładał ręce.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, wspominając czasy, gdy pływali razem w gliniance nieopodal jego domu.

Rozmawiali o dumie i radości dziadka, szkarłatno-kremowym pontiacu streamlinerze, którego Jim polerował zawsze tak długo, dopóki nie zaczął wyglądać, jakby świeżo wyjechał z salonu samochodowego. Potem zaczęli dyskutować o futbolu – ale Jim nagle spojrzął na zegarek i stwierdził:

– Mój Boże... już jestem spóźniony o dwadzieścia minut. Dzisiaj West Grove gra z Chabot, a właściwie jeden z moich uczniów wszedł do drużyny.

– Cóż, w takim razie zacznij się zbierać – odparł dziadek. Podniósł się i wyciągnął ręce, jakby chciał objąć Jima na pożegnanie. – Mam nadzieję, że twój chłopak dobrze się spisze.

– Zobaczymy się jeszcze? – zapytał Jim.

– Nie wiem... Po śmierci niektóre sprawy nie są już takie jak za życia. Chyba są bardziej nieprzewidywalne... – Po chwili dodał: – Nie zapominaj o moim ostrzeżeniu, dobrze? Miej oczy otwarte i nadstawiaj ucha. Być może zdołasz to usłyszeć, zanim cokolwiek zobaczysz.

– Dzięki, dziadku – powiedział Jim, nawet nie próbując ukryć łez cisnących mu się do oczu.

Staruszek odwrócił się i znikł, jakby rozpułynał się w powietrzu. Jim stał bez ruchu, wpatrując się w miejsce, w którym jeszcze przed sekundą znajdował się dziadek, dopóki kotka Tibbles nie wskoczyła na oparcie drugiego fotela i nie zaczęła pocierać łbem o jego rękę.



– Pewnie chcesz jeść, ty nienasycona kupo futra – mruknął. – Zaraz ci dam, a potem muszę lecieć. Russell nigdy by mi nie wybaczył, gdybym opuścił jego pierwszy mecz.

\* \* \*

Zatrzymał się przy szkolnym boisku z piekielnym zgrzytem opon, któremu towarzyszyły dwa wystrzały z gaźnika jego wysłużonego rebela SST. Był spóźniony ponad dwadzieścia minut, lecz ze zdumieniem stwierdził, że mecz z Chabot jeszcze się nie rozpoczął. Wsiadł z samochodu i przepchnął się przez tłum do Bena Hunkusa, trenera drużyny. Ben był niskim, krępy facetem o krótko ostrzyżonych jasnych włosach. Rozmawiał właśnie z kilkoma graczami, wśród których był też Russell Gloach. Wszyscy chłopcy wyglądali na przygnębionych i oszołomionych i wszyscy wciąż jeszcze mieli na sobie dżinsy i koszulki.

– Co jest grane? – zapytał Jim. – Odwołaliście mecz czy co?

– Nie, ale doszło do aktu wandalizmu – odparł Ben. – Jacyś goście włamali się do szatni i podarli chłopakom stroje. Porozbijali także wszystkie kaski.

– Chyba żartujesz. Kiedy to się stało?

– Nie wiemy. Pewnie dziś rano między jedenastą a jedenastą piętnaście. Jestem wściekły. Żeby to szlag!

– Domyślasz się, kto to mógł być?

– Nie. Sądząc po zniszczeniach, Godzilla. Sam zresztą zobacz.

Martin Amato, kapitan drużyny, powiedział:

– Drugi zespół pożyczycy nam stroje, ale kłopot w tym, że większość z nich jest w domu, w praniu, albo w bagażnikach samochodów. Nie zaczniemy wcześniej niż za godzinę.

Martin był wysokim, przystojnym chłopakiem o kwadratowej szczęce. Miał kędzierzawe jasne włosy i ciemnobrązowe oczy. Mówił powoli, starannie dobierając słowa. Nie należał może do szczególnie lotnych, ale był jednym z najlepszych kapitanów w historii West Grove. Gdyby reszta graczy była równie dobra, drużyna miałaby na swoim koncie same zwycięstwa, na razie jednak dorobiła się tylko przydomku „Partacze”.

– Czy ktoś wezwał policję? – zapytał Jim.

– Nie wydaje mi się, by doktor Ehrlichman ze szczególnym entuzjazmem przyjął wizytę ekipy dochodzeniowej podczas meczu futbolowego – odparł Ben.

– W takim razie sam rzucę na to okiem. Na wypadek, gdybym już nie zdążył do was wrócić, życzę zwycięstwa, Martin. Tobie też, Russell.

Russell Gloach pozdrowił go gestem dłoni. Był największym uczniem, ważył prawie sto dwadzieścia kilo i przez całe lato toczył zmagania z samym sobą, by

ograniczyć ilość pochłanianych ciastek i hamburgerów, popracować nad kondycją i zakwalifikować się do drużyny. Wciąż był jeszcze zbyt powolny, ale Martin wziął go ze względu na wysiłek, jaki chłopak wkładał w treningi, a także dlatego, że zatrzymywał napastników przeciwnika nie gorzej niż spory mur.

W drodze do budynku Jim omal nie zderzył się z dyrektorem szkoły, doktorem Ehrlichmanem, biegnącym do swojego gabinetu. Dyrektor miał na sobie jasny garnitur w drobną kratkę i sprawiał wrażenie bardzo zaafektowanego.

– Panie dyrektorze, właśnie usłyszałem, co się stało w szatni – powiedział Jim.

– Przepraszam cię, Jim, ale nie mam teraz czasu – odparł Ehrlichman. – Muszę wykonać bardzo ważny telefon.

– Ben Hunkus powiedział mi, że nie wezwał pan policji...

– Wolałbym najpierw przeprowadzić wewnętrzne dochodzenie. W tym semestrze policja odwiedzała nas wystarczająco często. Musimy mieć na względzie naszą reputację.

– Chyba ma pan rację – przyznał Jim.

Przecisnął się przez dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do szatni chłopców. Na zewnątrz stało paru uczniów, a sama szatnia pilnowana była przez szkolnego ochroniarza

w brązowym mundurze, pana Wallechinsky'ego, który blokował przejście ze splecionymi na piersiach ramionami.

– Dzień dobry, panie Rook – odezwał się do Jima.

– Jak leci, panie Wallechinsky? Przyszedłem trochę się tu rozejrzeć.

– Muszę pana uprzedzić, że kiedy pan to zobaczy, pęknie panu serce.

– Domyśla się pan może, jak to się mogło stać?

– Aż do jedenastej wszystko było w porządku. – Wallechinsky pokręcił głową. – A pół godziny później cała ta cholerna szatnia wyglądała jak po eksplozji bomby.

– I nikt niczego nie słyszał? Przecież musiał tu być straszny rumor.

– Nikt niczego nie słyszał i nie widział. Ostatnią osobą, która kręciła się w pobliżu szatni, była ta pańska Indianka.

– Amerykanka, panie Wallechinsky, rdzenna Amerykanka.

– Panie Rook, niech pan da spokój. Ja jestem Polakiem, ale jeśli pan chce, może mnie pan nazywać „Polaczkiem”.

– W porządku, ale Catherine Biały Ptak jest rdzenną Amerykanką. Albo Nawaho. – Jim zamilkł na chwilę, a potem dorzucił: – Ale czego ona tutaj szukała? Zapytał pan ją?

– No chyba. Wróciła po portfel Martina Amato. Chyba wie pan, że chodzą ze sobą?

– Oczywiście. – Jim skinął głową. Zawsze starał się być na bieżąco w uczuciowych sprawach swoich uczniów. Dzięki temu łatwiej mu było zrozumieć, dlaczego któryś z nich jest przygnębiony, rozmarzony czy też szczególnie nerwowy. I wcale go nie zdziwiło, że Catherine Biały Ptak i Martin Amato chodzili za sobą – stanowili idealną parę. Jim sam zainteresowałby się Catherine, gdyby tylko był o jakieś piętnaście lat młodszy i zdecydował się na złamanie swojej żelaznej zasady, by nigdy nie nawiązywać intymnych kontaktów ze swoimi uczennicami. Zresztą jeśli nawet pominąć aspekt moralny, był to najprostszy sposób na zafundowanie sobie wizyty w rejonowym biurze do spraw zatrudnienia. – Catherine również niczego nie zauważyła?

– Nic a nic. A sama nigdy nie byłaby w stanie zrobić czegoś takiego.

– Niech mi pan to pokaże – zażądał Jim.

Wallechinsky otworzył drzwi do szatni i wpuścił Jima do środka. We wnętrzu było ciemno, bo wszystkie światłówki były roztrzaskane, a ze ściany, w miejscach, z których wyrwano trzy umywalki, tryskała woda. Stalowe szafki leżały na posadzce. Wandale nie ograniczyli się tylko do ich przewrócenia. Wszystkie były powyginane i pozgniatane, a trzy czy cztery zostały kompletnie roz-

prute.

Wszędzie poniewierały się strzępy strojów futbolo-  
wych. Były to nowiutkie, zielono-pomarańczowe ko-  
stiumy ufundowane przez firmę West Grove Screen &  
Window za sumę ponad 3500 dolarów. Teraz pozostały  
z nich jedynie nasiąknięte wodą szmaty. Osłony barkowe  
i kaski podzieliły ich los. Jim, oszołomiony, schylił się i  
podniósł jeden z nich, przypominający wielki rozdepta-  
ny cukierek M&M's. Wiedział, że kasku futbolowego nie  
sposób rozbić nawet młotem pneumatycznym.

Ściany szatni również nosiły ślady dewastacji. Kafelki  
z białej glazury poznaczone były głębokimi bruzdami.  
Jim podszedł bliżej i przesunął palcami wzdłuż jednego  
z wyłobień. Było ich pięć i biegły równolegle, niczym  
ślady pazurów. Ale nawet dorosły niedźwiedź grizzly nie  
byłby w stanie tego dokonać.

Ben Hunkus wszedł do pomieszczenia i przystanął  
obok Jima.

– Kompletna ruina, no nie?

– Uważam, że powinniśmy wezwać gliny – odparł  
Jim. – Ten, kto to zrobił, musiał chyba wpaść w amok.  
Poza tym musiał mieć ze sobą jakieś szczególne narzę-  
dzie. Pomyśl tylko, co by się mogło stać, gdyby mu ktoś  
przeszkodził. – Rzucił zniszczony kask na podłogę. – Nie  
rozumiem tylko jednego: dlaczego ktokolwiek miałby  
demolować szkolną szatnię? No, powiedz sam, po jaką

cholere?

– Może ktoś z Chabot chciał mieć pewność, że West Grove przegra?

– Chyba żartujesz. Chłopaki z Chabot wdeptaliby Partaczy w ziemię nawet wtedy, gdyby grali w papierowych workach na głowie. Wcale nie musieliby uciekać się do takich sposobów.

– Nie zgadzam się z tobą, Jim, West Grove ma dużą szansę wygrania tego meczu. Albo przegrania niewielką liczbą punktów.

– Być może, Ben. Przepraszam. Ale nadal tego nie pojmuję.

Ben zaczął podnosić powywracane szafki, a Jim stał pośrodku szatni, rozglądając się dookoła. Był pewien, że coś wyczuwa, choć nie potrafił tego nazwać. Przypominało to głęboką wrogość – nieomal nienawiść.

– Czujesz coś? – zapytał Bena.

Ben mocował się z wywróconą ławką, czerwony z wysiłku.

– Czuję wściekłość, tego możesz być pewien.

– To wiem. Ale czy wyczuwasz coś tu, w tym pomieszczeniu?

Ben wyprostował się i rozejrzał wokół siebie.

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

– Hm... Ja chyba też nie. Pomóc ci?

Ben nie odpowiedział, pochłonięty szarpaniem za

wygięte drzwi szafki.

\* \* \*

Jim pozostawił mu sprzątanie zdemolowanej szatni i wrócił na boisko. Był piękny wrześnieowy dzień, bezchmurny i chłodny. Szkolne proporce trzepotały na lekkim wietrze, a orkiestra West Grove po raz siódmy grała *99 Red Balloons* z entuzjazmem meksykańskiej kapeli podwórkowej. Dopingujące zespół dziewczyny truchtały tam i z powrotem w swoich krótkich plisowanych spódniczkach, wymachując zielono-pomarańczowymi pomponami. Prowadziła je jedna z uczennic Jima, Sue-Robin Caufield. Batuta wirowała w jej dłoniach niczym wirnik śmigłowca. Jim pomachał do niej ręką, a ona odpowiedziała mu triumfalnym uśmiechem. Gdyby tylko ta dziewczyna czytała i pisała równie dobrze, jak tańczy, pomyślał.

Ponownie odszukał Martina Amato. Była z nim Catherine Biały Ptak.

– Hej, proszę pana. Co pan o tym myśli? – zapytał Martin.

– Co myślę? Chyba jednak spróbuję przekonać doktora Ehrlichmana, by wezwał policję. A ty powiedz kolegom z drużyny, żeby mieli się na baczności. Być może to tylko ktoś, kogo bawi demolowanie szatni szkolnych. Ale może to być jakiś świr, któremu się nie podobacie.



– Dlaczego? Komu może przeszkadzać szkolna drużyna futbolowa?

– Ludzie miewają dziwniejsze pomysły – odparł Jim.

– Kiedyś miałem sąsiadkę nienawidzącą Lou Costello. Przez całe życie pisała do niego listy z pogroźkami.

– Ale to chyba nie mógł być żaden z uczniów, prawda? – zapytała Catherine.

Catherine Biały Ptak dołączyła do drugiej klasy specjalnej zaledwie trzy miesiące temu. Wcześniej mieszkała w rezerwacie Nawahów w Window Rock, niedaleko granicy Arizony z Nowym Meksykiem, i uczęszczała do tamtejszej szkoły dla rdzennych Amerykanów. Kiedy jej ojciec wraz z dwoma braćmi otrzymał rolę w serialu telewizyjnym *Blood Brothers* o policjantach z plemienia Nawaho, przeniosła się do niego do Los Angeles.

Jej matka umarła, gdy Catherine miała piętnaście lat, ale kiedy przedstawiała się klasie, powiedziała: „Wyglądam zupełnie jak moja matka. Jestem moją matką”. Była bardzo wysoka, miała długie czarne włosy sięgające aż do pasa, wysokie kości policzkowe, skośne brązowe oczy i pełne, lekko wydęte wargi. Tego dnia ubrana była w niebieską koszulę w kratkę i obcisłe džinsy. Na szyi zawiesiła srebrny naszyjnik z orłem.

– Jeżeli to rzeczywiście jeden z uczniów, zapewniam cię, że go znajdziemy i ukrećmy struny do gitary z jego bebechów – oświadczył Jim.

– Moja babka potrafiła odnajdywać ludzi, którzy sprawiali innym kłopoty – powiedziała Catherine. – Używała do tego magicznych kości, które ich zdradzały.

– Tu magiczne kości nie będą nam chyba potrzebne – wtrącił Martin. – To mógł być tylko ten wielki jasnozielony facet w podartym ubraniu...

– Nie pojmuję, jakim cudem nikt niczego nie zauważył – mruknął Jim. – Sprawca musiał mieć ze sobą siekiere czy jakieś inne narzędzie. W dodatku wywracane szafki musiały narobić niesamowitego hałasu.

– Ja niczego nie słyszałam – stwierdziła Catherine. – A mam doskonały słuch. Słyszę, jak trawa rośnie.

– Tak jak Indianie na filmach? – spytał Russell. – Przykładają ucho do ziemi i mówią: „Wiele koni tu jechać”. Potrafisz coś takiego?

– Russell, nie wygłupiaj się – zganił go Jim.

– Mnie to nie przeszkadza – powiedziała Catherine. – Ale uważaj, żeby moi bracia tego nie usłyszeli.

– Skończysz w charakterze jeża ze szczeciną ze strzał – dodał Martin.

Szczecina, przypomniał sobie Jim. Tego słowa użył dziadek. „Jest mroczne, bardzo stare i takie jakieś szczeciaste, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli”. Prawdę mówiąc, nie rozumiał, ale nie zdołał wyciągnąć ze starszka niczego więcej. Dziadek powiedział jeszcze tylko: „Sam zobaczysz”.

A jednak jakiś nieuchwytny szczegół związany z wypadkami dzisiejszego dnia – może była to ta dziwna wrogość, jaką wyczuł w szatni – ponownie przywiódł mu na myśl ostrzeżenie, które usłyszał od dziadka. Może to mroczne, stare, szczeciniaste zagrożenie pojawiło się właśnie teraz?

\* \* \*

Mecz zaczął się kwadrans po trzeciej. Jim siedział na północnej trybunie wraz z George'em Babourisem, brodatym fizykiem, i nauczycielką geografii Susan Randall. George pochłaniał gyros tak łapczywie, jakby nie jadł od trzech tygodni. Susan wyglądała jak dziewczyna z obrazu Normana Rockwella: upięte w kok ciemne włosy i różowe policzki, czerwony sweter i dżinsy z podwiniętymi nogawkami. Przez ostatnie dwa miesiące Jim i Susan widywali się od czasu do czasu, choć tak naprawdę wcale do siebie nie pasowali. Susan uprawiała aerobik i interesowała się aromaterapią oraz starymi mapami, a Jim chińszczyzną i filmami z Bruce'em Willisem. Ale Susan podobały się jego zawsze potargane ciemne włosy i oczy o odcieniu butelkowej zieleni, uwielbiała też sposób, w jaki przykładał dwa palce do czoła i zaciskał powieki, kiedy usiłował się skupić. I zawsze potrafił ją rozbawić. Wiedziała również, że jest bezgranicznie oddany swoim uczniom. Któregoś dnia siedziała w ostatniej ławce w

drugiej klasie specjalnej i przysłuchiwała się wysokiemu czarnemu chłopakowi recytującemu *Speaking of Poetry* autorstwa Johna Peale'a Bishopa.

*Tradycyjna we wszystkich swych symbolach,  
starożytnych niczym senne metafory;  
dziwna, nigdy przedtem niesłyszana muzyka:  
trwająca nieprzerwanie,  
dopóki nie zgasną pochodnie u drzwi sypialni.*

Chłopak był pod wrażeniem tego, co mówił. Susan wiedziała, że kiedy zaczynał naukę w drugiej klasie specjalnej, był jednym z najbardziej agresywnych i niezdyscyplinowanych uczniów, a jego słownictwo ograniczało się do ulicznego slangu i przekleństw.

– *Nigdy przedtem niesłyszana muzyka...* – powtórzył, kiedy już skończył. – Zastanówcie się, co to znaczy. *Nigdy przedtem niesłyszana muzyka.* Kurwa, nie macie pojęcia, jak ja kocham takie wiersze.

Susan położyła dłoń na kolanie Jima. Spojrzał na nią i uśmiechnął się blado.

– Wyglądasz na zmartwionego – stwierdziła.

– West Grove znowu obrywa. – Jim wzruszył ramionami.

– To nie tym się gryziesz, Jim. Zwykle przegrywamy znacznie wyżej.

– Sam nie wiem... chyba chodzi o tę aferę z szatnią.  
Mam złe przeczucia.

– Daj spokój, odpręż się. Policja na pewno znajdzie sprawców.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Nie mógł jej powiedzieć, że odwiedził go dzisiaj dziadek, bo po prostu by mu nie uwierzyła. Zresztą on sam z trudem w to wierzył, choć powoli zaczynał oswajać się z myślą, że potrafi dostrzegać to, co ukryte przed większością ludzi. Kiedy miał dziesięć lat, był o krok od śmierci z powodu ciężkiego zapalenia płuc i to traumatyczne doświadczenie umożliwiło mu postrzeganie duchów przybywających do świata żywych, by nieść pociechę, ochraniać czy też szukać zemsty.

– Wiesz, o co tu chodzi? – zapytała Susan. – Wydaje mi się, że coś wiesz.

Jim pokręcił głową.

– Już ci mówiłem, mam złe przeczucia, tylko tyle.

Na boisku Russell przez większą część meczu bezskutecznie ścigał gwiazdorów drużyny Chabot. Gdy zbliżali się do finału i kapitan Chabot, Wayne Dooly, ruszył do linii końcowej, by zaliczyć jeszcze jedno przyłożenie, Russell stanął mu na drodze. Dooly biegł zbyt szybko, by go ominąć. Potknął się, stracił równowagę i z głośnym hukiem zgniatanych ochraniaczy zderzył się z Russellem. Przez moment stał chwiejnie w miejscu, a potem –

równy z końcowym gwizdkiem – runął ciężko na wznak na trawę. Kibice West Grove podnieśli triumfalny wrzask i zbiegli z trybun. Podnieśli Russella do góry, choć trzeba było do tego sześciu chłopów, i przedefilowali z nim wokół boiska. Jim wstał, klaszcząc głośno. Odkąd zaczął pracować w West Grove, nigdy jeszcze nie widział Russella równie szczęśliwego.

Martin zszedł z boiska, więc Jim i Susan podeszli do niego, by złożyć mu wyrazy ubolewania.

– Mogło być gorzej – pocieszył go Jim. – Zagraliście całkiem dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności.

– I biorąc pod uwagę to, że jesteśmy najpowolniejszym i najniezdarniejszym zespołem w historii szkolnego futbolu. Zupełnie niewinne świnię zginęły tylko po to, by ci idioci mogli kopać ich skórąmi w niewłaściwym kierunku.

Catherine objęła Martina, pocałowała go w policzek i przytuliła się do niego.

– Wciąż jesteś moim bohaterem – powiedziała z uśmiechem.

– Jakie macie plany? – zapytał Jim. – Chyba w sali gimnastycznej szykuje się jakaś impreza.

– Raczej stypa – mruknął Martin. – Świątujemy najdłuższe nieprzerwane pasmo porażek w historii szkolnego futbolu.

– Właśnie że nie – zaprotestowała Catherine.

– Będziemy świętować naszą ostatnią porażkę. Następnym razem wygramy, prawda? I odtąd będziemy tylko wygrywać, nawet gdybym musiała użyć czarów mojej babki, by to sprawić!

– Twoja babka musiała być niezwykłą kobietą – zauważył Jim.

– Była niezwykła – potwierdziła Catherine. – Potrafiła ożywić martwe cykady, umiała sprowadzać deszcz, a kiedy szła po łące, tam, gdzie stanęła, wyrastały polne kwiaty.

Jim przechwycił jej spojrzenie i nagle pojął, że opowieści Catherine o babce nie są zmyślonymi bajeczkami.

– Idę teraz pod prysznic – oświadczył Martin. – Po tem będziemy mogli zabrać się do świętowania.

– Możecie skorzystać z prysznicza dla dziewcząt – wtrącił Ben. – Ale zachowujcie się odpowiednio. Nie ruszajcie szamponów dziewczyn i nie zakładajcie ich bieliżny. Tylko transwestytów nam tu jeszcze brakuje.

Zjawił się Russell, zgrzany i czerwony na twarzy, lecz nieskończenie szczęśliwy. Jim uścisnął mu rękę i powiedział:

– Świetna robota, Russell. Może i przegraliście, ale pokazałeś, na co cię stać.

– *Historia rzec może pokonanym: niestety, lecz pomoc ni przebaczyć nie zdoła\** – wyrecytował w odpowie-

---

\* W.H. Auden, *Hiszpania, 1937*, przekład Leszka Elektorowicza.

dzi Russell.

– Skąd to znasz? – zdziwił się Jim.

– Z pana lekcji. To jeden z argumentów, które skłoniły mnie do ostrzejszych treningów i powstrzymały przed obżarstwem.

Jim spojrział na Russella i po raz pierwszy ujrzał w nim nie grubego, błaznującego ucznia, lecz mężczyznę. Położył dłoń na ochraniaczu chłopaka i kiwnął głową z uśmiechem. Ale jego uśmiech zgasł, gdy na parking dla gości zajechał z charkotem silnika czarny firebird, z którego wysiadło dwóch wysokich młodych ludzi.

Natychmiast ich rozpoznał. Byli to starsi bracia Catherine, Paul oraz Szara Chmura. Każdego dnia po szkole przyjeżdżali po siostrę, a gdy Jim spotkał kiedyś dziewczynę poza szkołą, na moło Venice Beach, bracia z ponurymi twarzami kroczyli po obu jej stronach niczym ochroniarze, ostro odcinając się od tłumu nastolatków na rolkach i rowerach. Paul miał dziś na sobie grafitowy garnitur i czarny golf, a Szara Chmura dwurzędowy czarny płaszcz i dżinsy. Włosy Szarej Chmury związane były w długą kitkę i miał typowy dla Nawahów naszyjnik. Obaj skrywali oczy za czarnymi okularami.

– Wiesz, która godzina? – zapytał Catherine Szara Chmura.

– Mecz rozpoczął się z opóźnieniem – wtrącił Martin.

– Ktoś zdemolował naszą szatnię.



– Nie mówiłem do ciebie – syknął Szara Chmura, po czym odwrócił się do Catherine i dodał: – Prosiłem cię, żebyś dzwoniła, gdybyś się miała spóźnić.

– Hej, wyluzuj – mruknął Martin. – Ona nie ma dwunastu lat.

– Chłopie, lepiej trzymaj się od tego z daleka – ostrzegł go Paul. – To nie twój interes.

– Tak się składa, że Catherine jest moją dziewczyną, więc chyba to mój interes, nie?

– Catherine nie jest niczyją dziewczyną, a już na pewno nie twoją. Kiedy znajdzie sobie mężczyznę, będzie to Nawaho – odparł.

Szara Chmura chciał wziąć Catherine za ramię, ale Martin chwycił go za nadgarstek i wykręcił mu rękę za plecy.

– Puszczaj mnie, bydlaku! – krzyknął Szara Chmura.  
– Puszczaj albo cię zabiję!

Martin, nie zwalnając uścisku, wycodził przez zęby:

– Catherine jest już wystarczająco dorosła i wystarczająco inteligentna, by samodzielnie podejmować decyzje, gdzie chce być i z kim chce się spotykać. Dotarło?

Jim rozdzielił ich.

– Wystarczy. Jeżeli chcecie stoczyć drugą bitwę nad Little Bighorn, znajdźcie sobie inne miejsce.

– Nad Little Bighorn walczyli Siuksowie – odparł z niesmakiem Szara Chmura.

– A biali zostali zmasakrowani – dorzucił Paul.  
– Posłuchajcie mnie, chłopaki – odezwał się Martin.  
– Zaraz zaczyna się impreza. Catherine idzie na nią i wy też jesteście zaproszeni, jeżeli chcecie. Po imprezie zamierzamy jechać do LA Buzz na odlotowe chili, a potem odstawię Catherine do domu, całą i zdrową. Czy coś z tego wam się nie podoba?

– Catherine, masz natychmiast wracać – oświadczył Szara Chmura.

Dziewczyna wahała się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

– Chcę pójść na tę imprezę. Daj spokój, Szara Chmuro, to tylko przyjęcie.

– Ojciec życzy sobie, żebyśmy byli razem dziś wieczorem.

– Ojciec życzy sobie, żebyśmy byli razem każdego wieczoru. A ja chcę zaznać trochę życia.

– Z nimi? – zapytał pogardliwie Szara Chmura, spoglądając na Martina, Russella, Marka Foleya i Ritę Munoz.

– To moi przyjaciele.

– Oni nigdy nie będą twoimi przyjaciółmi.

Szara Chmura znowu chciał chwycić siostrę za ramię, ale tym razem Martin i Russell odepchnęli go wspólnymi siłami.

– Posłuchaj, koleś... – warknął Russell. – Jeszcze raz

spróbujesz, a usiądę ci na głowie.

– Słyszeliście kiedyś o szczepie Płaskogłowych? – dorzucił Mark. – To właśnie się im przytrafiło.

– Nie obrażaj naszej kultury! – naskoczył na niego Szara Chmura. – Ledwo przetrwała przez takich jak ty.

– Dosyć, panowie – wtrącił się znów Jim. – Skoro Catherine nie chce wracać z wami do domu, nic na to nie poradzicie. Lepiej opuśćcie spokojnie kampus, zanim będę zmuszony zrobić coś, czego nie chcę... na przykład wezwać ochronę.

Szara Chmura wzruszył ramionami, spojrzął Martinowi prosto w oczy i powiedział:

– Jedno mogę ci obiecać, przyjacielu. Jeżeli dziś wieczorem spróbujesz zabrać Catherine do miasta, nie doczekasz jutrzejszego wschodu słońca.

– Grozisz mi? – Martin się zaśmiał. – Jeżeli tak, to jesteś szalony. Mam mnóstwo świadków.

– Nie, nie grożę ci – odparł brat Catherine. – Informuję cię tylko, co ci się przytrafi, a jest to równie nieuchronne jak zmiany faz księżyca.

Najwyraźniej uznając rozmowę za skończoną, wrócili do samochodu i wsiedli do środka. Kiedy ruszali, Szara Chmura uniósł okulary i posłał Martinowi i Catherine ostatnie lodowate spojrzenie.

– Trochę nadopiekuńczy są ci twoi bracia – zauważył Jim.

Catherine zaczerwieniła się.

– Przez cały czas się tak złością! Nienawidzą kultury białych ludzi, szczególnie Szara Chmura.

– Jasne. Widać to po jego płaszczu od Armaniego.

– Och, nie chodzi o rekwizyty, proszę pana. Nawaho zawsze umieli się przystosować. Kiedyś uprawiali rolę, a potem stali się myśliwymi, wędrowcami i rabusiami. Kiedyś podróżowali pieszo, a potem nauczyli się jeździć konno i używać strzelb. Paul i Szara Chmura nie lubią, gdy Nawaho starają się naśladować obyczaje białego człowieka. Uważają, że zbyt wielu z nich zapomniało o dawnych czasach, zapomniało o tym, kim jesteśmy i co oznacza bycie członkami plemienia Nawaho. Są przekonani, że za jakieś dziesięć lat wszyscy staniemy się członkami społeczności białych, tyle że drugiej kategorii.

– I właśnie dlatego nie chcą, żebyś chodziła z Martinem?

Catherine ujęła Martina za rękę i ścisnęła ją mocno.

– Nie chcą, żebyś chodziła z jakimkolwiek białym chłopakiem. Ale nie powstrzymają mnie, bez względu na to, co by mówili.

– Posłuchaj – odezwał się Martin – nie chciałbym być dla ciebie źródłem kłopotów...

– Wiem – odparła Catherine. – Ale obiecałeś, że zabierzesz mnie na Stypę. I obiecałeś mi wypad do LA Buzz. Chyba nie jesteś jednym z tych białych ludzi o

podwójnym języku?

– No dobra – odezwał się Jim. – Nie będę wam psuł wieczoru. Martin, przykro mi z powodu meczu. Może kiedyś...

– Ma pan to jak w banku, proszę pana – zapewnił go Martin.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).